



EUROPEAN UNION  
PRIZE FOR LITERATURE

2012



© Aleksandra Karasinka

**Piotr Paziński** – Poland

*Pensjonat (2009)*

Boarding House

Publishing House **Wydawnictwo Nisza**

### Biography

Piotr Paziński, born in 1973, is the author of three books: a monograph on James Joyce's *Ulysses*, a subjective guide tracing the footsteps of Joyce's Dublin, and the novel *Pensjonat*, published in 2009 by the small Nisza Publishing House. For this novel, he received the Paszport Polityki, the cultural award of the Polish publication *Polityka*. Paziński lives in Warsaw, where he works as the chief editor of the Jewish magazine *Midrash*, and is working on a book of short stories.

### Synopsis

This book from a small publisher has gained considerable popularity and brought the author, Piotr Paziński, a prestigious prize from the magazine *Polityka*.

On the surface, the plot of *Pensjonat* is fairly straightforward, describing a day trip to a boarding house outside Warsaw by a young man. As a small boy, he often spent time there with his granny, and he now encounters several aged guests who remember him as a child. But it is no ordinary boarding house: the residents are Jews who survived the Holocaust, and so everything that occurs here is like a dream about the past, a summoning-up of ghosts, a resurrection of not just people but also events, debates and ideological arguments from long ago.

Thus the plot only appears to be simple, but in fact it is set on several time scales and is bursting with typically Jewish anecdotes and parables. The past meets the present in the book – the old people see the past as something so close as to be almost within reach, but their recollections are also distorted by their obsessions or gaps in memory. They are the last living witnesses to the pre-war world of the Polish Jews, and the author shows in what form the Jewish tradition exists in Poland today. The book has an atmosphere full of warmth and gentle irony. It paints sensually rich images, and at the same time shows the diversity of the Jewish heritage: on the one hand it is a dialogue between different fates, and on the other it is an endless dispute about the ultimate questions, about the existence or non-existence of God, and about the issues facing the Jews. This dispute permeates the everyday world in a comical way, but provides meaning even when it is going through drastic changes, and most of the people taking part in the argument are dying. At that point it is taken up by the survivors, who resurrect the dead as partners in the debate.

## *Pensjonat*

**Piotr Paziński**

Hol i jadalnia trwały bezлюдne w półmroku oczekiwania na wieczór. Tylko ze słabo oświetlonego biura obok świetlicy dobywał się stukot maszyny do pisania – znak, że życie w pensjonacie nie wygasło jeszcze do cna. Kierownik wypełnia codzienne obowiązki. Intendentura, media, produkty, środki czystości, żarówki wymienić na drugim piętrze. Pukanie wytrąciło go ze skupienia.

– Można?

– Proszę.

– Miałem się zjawić – zacząłem niepewnie.

– A, tak... – kierownik spojrział w moją stronę nieufnie.

– No właśnie.

– Zaraz, zaraz – zerknął w rozpiszę gości. – Co my tu dla pana mamy? Tak... Dobrze. Na jak długo? Zechce pan tutaj podpisać – przysunął księgę meldunkową. – Dobrze. I data. Dzisiaj czwartek. Porządek musi być.

Zapadł się w fotelu.

– Pan, jeśli wolno spytać, ma – zawahał się, jakby starał się znaleźć słowo, które możliwie najlepiej wyrażałoby jego ciekawość – coś wspólnego z...

– Tak.

Odetchnął z ulgą.

– Co w Warszawie? Wie pan, my tutaj żyjemy trochę jak w pustelni. Zdani na łaskę i niełaskę przybyszów, z dala od tego

całego tam kołowrotka. Kombinatorzy, każdy zgarnia pod siebie, nie myśli o innych. Uważają się za nie wiadomo co! Ale nic. Pan pewnie zmęczony?

– Nie bardzo.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, mierząc się wzrokiem. Kierownik ośrodka i jego kancelaria. Ośrodek. Szumna nazwa. Dawniej mówiło się „pensjonat”, ale „pensjonat” to zbyt burżuazyjne. Birkat haBajt, błogosławieństwo dla domu, wypisane na ozdobnym kartoniku, zaraz nad biurkiem. Niechaj w tym domu zagoszczą radość i pokój. Kiedyś tego nie było. To zamiast portretu Icchaka Lejbusza Pereca. A może to był Szolem Alejchem? Poważne twarze. Sami najwięksi, klasycy literatury jidysz, przeniesieni na półpiętro.

– Chodźmy jeść – zaprosił. – Kolacja czeka. Inni już zjedli, późno jest. Wolą wcześniej, o szóstej. Żeby zdążyć odpocząć przed dziennikiem. Dziewiętnasta trzydzieści, święta godzina. Gdyby jakiś rabin robił o tej porze nabożeństwo, to miałby tłum. Tyle że wolą siedzieć przed telewizorami. Taka modlitwa, przynajmniej nikt Panu Bogu głowy nie zawraca. Zresztą był tutaj rabin, przed laty, z Ameryki przyjechał. Spotkał się z nimi i, wie pan, w ogóle go słuchać nie chcieli. Co im tam rabin, tutaj każdy ma się za rabina. A kobiety za rebecn. A bo to problem? W tym pokoleniu? Ale pozapominali, tyle czasu minęło. Odkąd zamontowaliśmy telewizję w pokojach, pojawiają się tylko na posiłki albo i to nie. Świetlica to przeszłość.

Świetlica, z niezdatnym freskiem, zaraz za jadalnią. Wydała mi się salą balową, tak ją nazywałem. Oddzielona ciężkimi, półokrągłymi drzwiami. Kryształ wprawiony w drewno. Trudno zajrzeć, w środku zawsze panował sakralny półmrok. Najbardziej tajemnicze miejsce w domu. Dla dorosłych, ale

mogłem przychodzić na dobranocki. Przed dziennikiem. Śnieżny ekran kolorowego telewizora, którego nikt nie umiał wyregulować. Siedzę sam w ciemnej sali, a obok, w wyściełanym, pluszowym fotelu, poświstuje pan Chaim. Stary mądry pan Chaim! Wszyscy do niego chodzili, dawał rady każdemu, kto o to poprosił. W ciągu dnia świetlica wypełniała się gwarem. Czarny fortepian, kącik bridżowy, zeks un zechcyg, co nowego w „Fołks Sztyrne”? Polityka, książki, Rudnicki coś nowego napisał. Przedstawienia w Teatrze. Za Idy Kamińskiej bywało lepiej. Zawsze kiedyś bywało lepiej, tak jest świat urządzony.

Wszystko oglądane przez kryształowe szyby. Głowy, jedna przy drugiej, na rozkładanych klubowych krzeselkach, słuchają odczytu. Wysoki pan stoi naprzeciw nich, coś objaśnia. Ręce uniesione ku górze, mocno gestykułuje. Błyszczą mu oczy. Klamka na wysokości głowy, a może i wyżej. Wiele lat później bal sylwestrowy. Sala balowa, teraz już w tej właśnie funkcji, obsypana confetti i papierowymi serpentynami. Baloniki na linkach zawieszono nad jadalnią, stoły zsunięte razem, przykryte białym obrusem. Ozdobne suknie i ciemne dwurzędówki. Wódka ze sklepu, brakuje orkiestry, ale poza tym jak na dansingu. I jeszcze raz sala balowa, nowe czasy. Prowizoryczna synagoga na obozie młodzieżowym. Święta arka zrobiona z szafki osłoniętej firanką. Łapanka do minianu na poranną modlitwę. Budzą mnie po ósmej, zwleczony z łóżka stąпам jak lunatyk. Bez dziesięciu Pan Bóg nie wysłucha tych trzech, którzy pragną, aby ich wysłuchał. Zimno, choć lato, siedzę skurczony z tyłu, próbując nadążyć za prowadzącym. Sacrum jakoś się ulotniło.

Odkleiłem nos od szyby. Zamknięte, nie można wejść.

W jadalni zapalono kinkiety. Przez pięć werandowych okien do środka zaglądał już tylko mrok. Kierownik wskazał miejsce przy służbowym stole. Milcząca kelnerka ustawiła talerze i koszyk z pieczywem. Ciężka biała zastawa, dzbanki do kawy z grubej porcelany. Przyprawy w zestawie obowiązkowym: solniczka, pieprzniczka, maggi i ocet w miniaturowych karafkach z grubego szkła. Maggi świetne do rozgniecionych kartofli. Do czego ocet? Do kotletów schabowych? Niekoszerny ośrodek, chłopskie, stołówkowe jedzenie. Nie uświadczysz rosółu z farfelkami, marchewka z groszkiem podlana mączną zasmażką musi wystarczyć za cymes. Kurczak bez suszonych śliwek, zupełnie nie jak kurczak. Cała ta historia z koszernym, żeby Żydzi i goje się nie mieszała. I na co to wszystko się zdało? Widział kto dzisiaj żydowskiego kucharza?

– Cicho tu, prawda? – kierownik zagaił rozmowę. – Martwo.

Przytaknąłem uprzejmie.

– O tej porze roku nie ma prawie nikogo, nie to co kiedyś. Latem jeszcze, jeszcze. A teraz? Palacz, sprzątaczką. I my.

– Jak to, a... – zaprotestowałem.

– A, ci! – machnął ręką uzbrojoną w widelec. – Ale oni są tutaj zawsze, to jakby ich w ogóle nie było. Kiedyś to był ruch w interesie! Wtedy było jeszcze tych Żydów trochę.

Zapadło milczenie.

Kiedyś wzywano na posiłki ręcznym dzwonkiem z drewnianą rączką. Przywilej dzieci. Stało się w pobliżu jadalni, na stromych wyściełanych linoleum schodach, w tym wyłożonym świerkową boazerią holu. Stamtąd najlepiej rozchodził się dźwięk. Na dwie minuty przed godziną pierwszą. Wielki zaszczyt i odpowiedzialność. Wczasowicze maszerują na

obiad. Pan Leon z nieodłącznym panem Abramem. Zawsze się kłócili. Pan Chaim. Pani Tecia, pani Róża, doktor Kamińska z milczącą siostrą. I niewidomy pisarz z parteru, pan Daniel, który zawsze powoli wspinał się po stopniach wiodących na taras. I jeszcze ten jeden, bardzo już stary pan, każdego roku brał pokój od strony podwórza. To o nim mówiono, że nie ma ręki, a ja przecież widziałem jego dłoń, zawsze w czarnej skórzanej rękawiczce, której nigdy nie zdejmował przy obcych. Tak czy inaczej, bałem się go bardzo.

Duży nakrapiany pies, który dotychczas drzemał zwinięty w kącie, poruszył się niespokojnie, uniósł łeb nasłuchując, ale wyczuwszy najpewniej znajomy zapach, ułożył się z powrotem do snu. Ktoś pchnął od zewnątrz skrzydło uchylnych drzwi. Ustąpiło z piskiem. W wejściu zamajaczyła ciemna sylwetka.

– Pokój temu domowi!

Starszy mężczyzna energicznym krokiem przemierzył jadalnię.

– Jakub! Serwus! – kierownik najwyraźniej się ucieszył. – Co ty tu robisz, nie byłeś na kolacji? Proszę, poznaj, nasz gość. Zna pan Jakuba – bardziej potwierdził niż zapytał. – Jakub to nasz stary bywalec.

– Bardzo stary – poprawił pan Jakub i teatralnie zakasłał.

Widziałem już gdzieś jego łysą czaszkę pokrytą pergaminową skórą tak cienką, że mogłaby się rozedrzeć pod najśłabszym dotykem. Policzki o wydatnych kościach pokryte rumieńcem – śpieszył się tutaj. Zejście po schodach też wymaga wysiłku. Błękitne żyłki na jego skroniach pulsowały nieprzyjemnie, jakby miały nie wytrzymać wzrastającego ciśnienia krwi. Próbowałem odnaleźć tę twarz w zakamarkach umysłu, wydobyć ją stamtąd, jak z bardzo niedoskonałej

kliszy fotograficznej, by poddać na nowo obróbce, uzupełnić o szczegóły, które teraz, w osobie siedzącego, miałem przed sobą. A później odnaleźć resztę, czyli nazwisko gościa i jego lokalizację na towarzyskiej mapie.

Nadaremnie. Żadne przechowywane w pamięci oblicze nie chciało pasować do nieznanego. A jednak, byłem tego pewien, pan Jakub nie był mi tak całkiem nieznanym. Prawdę mówiąc, w ogóle nie nadawał się na nieznanego. Był najwyraźniej kimś, kto istniał, kto musiał istnieć. Jeśli nie teraz, to wtedy.

– A kawalera to ja chyba znam – oświadczył dumnie pan Jakub. – Kawaler przyjeżdżał tutaj, siedział z nami przy stole.

W ukośnym świetle kinkietów plamy na jego niskim czole wyglądały jak dziwaczne narośle.

– Pan na długo?

– Na kilka dni.

– Na kilka dni. Przejazdem, znaczy się. Krótkie odwiedziny. Młodzież zawsze w ruchu.

Wypukłe ciekawskie oczy świdrowały na wylot. Czy go pamiętam? Wtedy na tarasie? Pan z fotografii. Mam dwa lata, siedzę w spacerowym wózku i konwersuję z kimś być może podobnym do pana Jakuba. Ja sam i oni. Jedyne dziecko, tu nie istnieli rówieśnicy.

– Nawet jest pan podobny – przyznał pan Jakub tonem osoby świetnie poinformowanej, jakby dopiero co opuścił moje własne myśli.

– A ciebie co tutaj sprowadza? – kierownik postanowił włączyć się do rozmowy.

– Jak to mówią, stara żydowska bieda. Jak człowiek jest już tym Żydem, to chce posiedzieć wśród swoich.

– Mało już ludzi, coraz mniej – westchnął tamten. – Wszędzie na świecie ich przybywa i tylko u nas odwrotnie.

– Po żydowsku, wszystko inaczej – zauważył pan Jakub tonem lekkiego sarkazmu. – Wyjdźcie przed namiot. Ile gwiazd! Pamiętajcie praojca naszego, Abrahama?

– Rozmnożę twoje nasienie i będziesz niczym gwiazdy na niebie – odpowiedział kierownik. – Czy tak?

– Widać ich wiele w tym roku.

– Jak co roku, Jakubie. Gwiazdy to nie ludzie, ich nie ubywa i nie brakuje. Ale spójrz nie na niebo, tylko wokoło.

Pan Jakub spojrział z pobłażaniem na młodszego kolegę. Czego on chce? Co się raz stało, już się nie odstanie. Ile można drzeć szaty? Całe życie, a nawet dłużej? Ubrania nie starczy.

Kierownik nie mógł się uspokoić, trawiła go jakaś wewnętrzna gorączka. Był bliski wybuchu.

– Teraz wychodzą z mysiej dziury. Przez czterdzieści lat taki nie był Żydem, co ja mówię, od urodzenia, i teraz, proszę bardzo, on jest Żyd pełną gębą, a jego syn – w Izraelu, nagle religijny się zrobił.

– To i klientów ci będzie przybywać. Swój, obcy, co tobie za różnica? Płaci za łóżko i chwytit.

– I tobie to nic nie robi różnicy? ! – wykrzyknął kierownik. Wstał gwałtownie od stołu. – A ja mam dosyć, rozumiesz? ! Co to za pensjonat! Ni to szpital, ni to trupiarnia! Wszystko postawione na głowie. Trzydzieści lat temu...

– A co ty potrzebujesz mnie uczyć, jak było trzydzieści lat temu? Co to jest trzydzieści lat? Wiesz, jak tu było przed wojną?

– Nie. I nie chcę wiedzieć – obraził się i ruszył do drzwi.



– Niech pan go nie słucha – pan Jakub zwrócił się do mnie konfidencjonalnym szeptem. – On tak gada każdemu. Stary bałwan! Kierownik. Teraz on jest wielki kierownik, a kiedyś... A zresztą, co ja będę panu mówił, szkoda nerwów.

– Kierowniku, to prawda, że teraz zamiast „dobry wieczór” mówi się „serwus”?

Szef pensjonatu zatrzymał się w pół drogi. Wszyscy trzej obróciliśmy głowy. Różowe policzki, brązowa ondulacja. Pani Mała. Żaden z nas jej wcześniej nie zauważył. Wśliznęła się po cichu i jak gdyby nigdy nic zaczęła jeść kolację.

– Nie wiem – wyburczał.

– Młódzież tak mówi – poinstruował pan Jakub.

Kierownik tylko zgrzytnął zębami i wyszedł z jadalni.

– A co jemu się stało? – spytała.

– Zawsze tak – pan Jakub machnął lekceważąco ręką.

– A! – zdziwiła się trochę. – A chłopak z panem przyjechał?

– Nie – teraz pan Jakub się zdziwił. – Co pani mówi? Dlaczego? Przecież on tu już wcześniej był.

– Wcześniej, co znaczy wcześniej? – nie mogła pojąć. – Toż on dopiero przyjechał. Chodziłyśmy z Tecią na spacer i nagle on tutaj jest. A wy się znacie? – nie chciała dać za wygraną.

– Świat jest mały. A żydowski świat jest jeszcze mniejszy. Każdy każdego zna.

– No to ja nie wiem. Przyjechał chłopak i co on teraz będzie tu robił?

– Ja nie rozumiem, o co się pani rozchodzi? A to pani interes? Przyjechał, to jest.

– I dobrze! Pan dzisiaj nie jest rozmowny – obruszyła się.

- Co zrobić.
- Niech pan lepiej pokaże chłopakowi jego pokój. Tam gdzie oni kiedyś mieszkali. Ta, co sprzęta, już tam pościel dzisiaj zmieniła.
- Dziękuję, pójde sam, trafię na pewno.

## *Boarding House*

**Piotr Paziński**

*Translated from the Polish by Tusia Dabrowska*

The hallway and dining hall have remained desolate in the dusk of evening waiting. Only the clicking of the typewriter was coming from the half-lit office next to the common room—a sign that life in the boarding house has completely not gone out. The manager is completing his daily duties. He is jotting down a list: utilities, food, cleaning detergents, light bulbs to be changed on the second floor. Knocking broke his attention.

“May I?”

“Please.”

“I was supposed to stop by—” I begin hesitantly.

“Oh, yes....” The manager looks at me with distrust.

“Right.”

“Just a moment.” He glances at the guest logbook. “So, what do we have for you? Yes... good. For how long? Would you please kindly sign here.” He passes me the registration book. “Good. Date. And today is Thursday. The order must be preserved.”

He sinks into his armchair.

“You... if I may ask, do you have—” He hesitates as if searching for a word that most closely phrase his curiosity. “—some connection with....”

“Yes.”

He exhales with relief.

“How are things in Warsaw? You know we live here like hermits. We depend on the guests’ mercy or the lack thereof; we’re far away from the real mayhem. Shady folks, they’re taking everything for themselves. Nobody cares about others. They think they’re important! Anyhow, you must be tired.”

“Not really.”

We sit in silence, eyeing each other. The manager of the bed and breakfast, his office. Bed and breakfast. Big name. In the old days, they called it a “boarding house,” but “boarding house” sounds too bourgeois. Birkat haBayt, a blessing for the house, written on a decorative card above the bureau: “Let joy and peace reign in this house.” It wasn’t here before. It’s here in place of Isaac Leib Peretz<sup>1</sup>. Or maybe Sholem Aleichem<sup>2</sup>? Serious faces. The giants, classics of Yiddish literature—taken up to the mezzanine.

“Let’s go eat,” he invites me. “Supper is waiting. The others have already finished; it is fairly late. They prefer to eat an hour earlier, at six, so they rest before the evening news. Seven thirty, the holy hour. If some rabbi held a prayer, he would have a hefty crowd. Just that they prefer to sit in front of a television—that kind of prayer, at least nobody is nagging the Lord. Anyway, we even had a rabbi here, years ago. He came

- 
1. I.L. Peretz (May 18, 1852 – 3 April 1915) —together with Sholem Aleichem, counted among the three fathers of Yiddish literature. An author, playwright and Yiddish language literature activist, Peretz was also fluent in Polish and Hebrew.
  2. Sholem Aleichem (March 2, 1859 – May 13, 1916)—the pen name of Solomon Naumovich Rabinovich. One of the three great classical Yiddish writers, Sholem Aleichem is known to international audiences as the author of stories that formed the foundation for the musical *Fiddler on the Roof*.

from America. He met with us, and let me tell you, they didn't want to hear him. What do they care about a rabbi? Everyone here fancies themselves a rabbi. And women rebbetzin. But is that even a problem? In their generation? Though they have forgotten, so much time has passed. Since we installed the television sets in rooms, they come out only for meals—or not even that. The common room is a thing of the past.”

The common room, with its artless fresco, is located right behind the dining hall. Once it seemed to me a ballroom; that's what I used to call it. Separated by heavy, arched doors—crystal framed in wood. Hard to peek in, sacral dusk permeated the inside. The most mysterious place in the house. Only for adults, but I was allowed to watch the bedtime children's program before the evening news. A color television set showing a snow pattern because no one knew how to fix it. I'm alone in the dark ballroom until, next to me, in a neatly covered armchair, Sir Chaim whistles. Old wise Sir Chaim! Everybody went to him for advice, and there was nothing he couldn't help with when people asked. By day, the common room filled with chatter. Black fortepiano, bridge club, zeks un zekhtsik<sup>3</sup>, any news in *Folks Shtime* paper<sup>4</sup>? Politics, books, Rudnicki had written something new. Plays in the Warsaw Jewish Theater. Back in the Ida Kaminska days, it was a lot better. The old days were always better. This is how the world is goes.

---

3. Zeks un zekhtsik (Yiddish)—“sixty six,” a popular card game.

4. *Folks-shtime* (*Voice of the People*) was the main Yiddish language newspaper of Polish Jews in the communist era. It was published from 1945 until 1991. First published under the auspices of Polish United Workers Party (the official communist party). Thereafter, it became the organ of the Social and Cultural Association of Jews in Poland. From 1969, the newspaper included a section in Polish (Yivo Institute, New York).

Everything observed through the crystal windows. Heads, one next to the other, on the folding club chairs, they are paying attention to a lecture that the tall man presents. His hands raised, he gesticulates with passion. His eyes are glistening. The doorknob is at the same level as my head. Many years later, a New Year's Eve ball. The ballroom, now in its proper function, is covered in confetti and serpentine throws. Balloons tied with strings in the dining hall, tables pulled together, covered in a white tablecloth. Evening dresses and dark two-button suits. Store-bought vodka. Only the orchestra is missing; other than that, the place is a real nightclub. And once again, the ballroom is a makeshift synagogue during youth summer camp. The Holy Ark is made from a cabinet with a curtain. Recruiting kids by name for the Morning Prayer, they wake me up at 8. Dragged out of bed, I amble like a sleepwalker. Without the other ten, the Lord will not hear the three who wish to be heard. Cold, though it's summer, I squat in the back trying to follow the speaker. Sacrum has left somehow.

I peel my nose from the glass. The room is closed, no one can go in.

In the dining hall, the electric Argand lamps are on. Through five veranda windows, only dusk peeks inside. The manager shows me a seat at the staff-only table. A silent waitress places a plate and a bread basket in front of us. Heavy white table set, coffee pots made of thick porcelain. Each meal comes with a mandatory set of condiments: salt, pepper, maggi sauce, and white vinegar in a miniature carafe of thick glass. Maggi sauce is perfect for a potato puree. White vinegar, what for? The pork cutlets? This bed and breakfast is not kosher; the food is peasant cafeteria food. You will not have chicken bouillon with farfalle here; carrots with peas in

buttered bread, a meal that has to be a satisfying substitute for tzimmes<sup>5</sup>. The chicken, without dried plums, tastes nothing like chicken. This whole story about kosher food, so the Jews and goyim wouldn't intermingle. And what good did it all do? Has anybody seen a Jewish chef today?

"It's quiet here," the manager tries to spark a conversation. "Lifeless."

I nod.

"At this time of year, this place is almost abandoned, not like in the old days. In the summer, it's so-so. But now? The stoker, cleaning lady. And us."

I protest. "What do you mean? What about—"

"Right, they!" he waves his hand armed with a fork. "They are always here, it's like they are not here. In the old days, it used to be busy! Back then, there were still quite a few of Jews here."

Silence.

In the old days, a meal was announced with a bell that had a wood handle. The privilege of children. I stood near the dining hall, on steep linoleum-covered stairs in this spruce paneled hall. The sound spread best from there. Two minutes before one. A great privilege and responsibility. The guests were marching for dinner. Sir Leon with inseparable Sir Abram. They always fought. Sir Chaim, Ms. Tecia, Ms. Rosa, Doctor Kaminska and her silent sister. And a blind writer from the ground floor, Sir Daniel, who always took forever to climb up the stairs to the terrace. And one more man: He was very old, and every year, he preferred a room with a backyard

---

5. Tzimmes (Yiddish) – a traditional Eastern European Jewish sweet stew.

window. Rumor had he was missing a hand, but I saw his palm many times—gloved in a black leather glove, which he never took off around strangers. Anyway, he scared the pants off me.

A large dog with spots, napping in the corner, moves tensely, raises his head scanning the room. Sensing a familiar smell, it goes back to sleep. Someone pushes the half-opened door. It recedes with a squeak. In the hallway, a dark silhouette appears.

“Blessing for the house!”

An older man crosses the dining hall. His walk energized.

“Jacob! Salute!” The manager is visibly excited. “What are you doing here? Didn’t you eat your dinner already? Please, join us, meet our guest. Do you know Jacob—” He more confirms than asks. “Jacob is one of our old regulars.”

“Very old,” Jacob corrects him and with a theatrical manner clears his throat.

I have seen before his bold skull covered with parchment-like skin, so thin that it could rip under the slightest touch. His cheeks, with protruding cheekbones, blushed; he was in a rush to get here. Walking down the stairs requires effort. Bluish veins unpleasantly pulsate at his temples, as though they were about to give under the rising blood pressure. I attempted to recover his face from the nooks and crannies of my mind, to retrieve it from there, as though from a very imperfect glass negative, to edit it again and fill out with details that now I had in front of me in the presence of the sitting man. Then I could find the rest: the guest’s name and his location on the social map.



All for nothing. None of the countenances stored in my memory wanted to fit the stranger. And yet, I was sure of it, Sir Jacob was not befitting a stranger. He apparently was someone, someone who existed, who had to exist. If not now, then back then.

“I think I know the young man here,” Sir Jacob announces proudly. “You, young man, used to come here, sit with us at the table.”

In the sidelight of Argand lamps, spots on his forehead look like some bizarre lesions.

“Do you plan to stay here long?”

“Some days.”

“Some days. Stopping by, in other words. A short visit. Youth is always in a hurry.”

Bulging curious eyes are piercing me. Do I recall him? Back then on the terrace? A gentleman from a photo. I am two years old, sitting in an umbrella stroller I hold a conversation with someone—someone who might resemble Sir Jacob. I—alone, and they. The only child in this place; peers didn’t exist here.

“I must admit—you do resemble yourself,” Sir Jacob acknowledged with a tone of a person who is up to date, as if he’s just left my own thoughts.

“And what brings you here?” The manager decided to join the conversation.

“As they say, the good old Jewish tzures. When a man thinks himself a Jew, he wants to spend time among his own kind.”

“There are not many of us left, less and less,” sighed the

manager. “Everywhere else in the world, the number of them is growing; only here, everything is upside down.”

“The Jewish way, always diverging,” Sir Jacob noted with a hint of sarcasm. “Go outside of the tent. See how many stars! Remember our forefather, Abraham?”

“If thou be able to count them, so shall thy seed be,” the manager recited, “Is that how it goes?”

“There are many visible this year.”

“As in the previous years, Jacob. Stars are not people; they don’t wither out and are not scarce. Just look at the sky, look around.”

Sir Jacob looked at his younger peer with condescension. What does he want? What happened can’t be undone. How long can you watch the paint dry? Your whole life and even longer?

There won’t be enough paint.

The manager couldn’t calm down; some hidden fever consumed him. He was on the brink of exploding.

“Now, they come out of their mouse holes. For forty years, nobody was a Jew—what am I saying? Since their birth, and now, suddenly, voilà, he’s a full-on Jew, his son—in Israel—instantly religious.”

“You will gain more guests. One of our own, or a stranger, what difference does it make to you? He’s paying for his bed and that’s it.”

“And it makes no difference to you!” the manager screams. He rises violently.

“I have had enough, do you understand me? ! What kind of boarding house is this! Neither a hospital nor a boneyard! Everything is upside down. Thirty years ago—”

“What do you think you need to teach me how it was thirty years ago? What is a mere thirty years? Do you know what it was like here before the war?”

“No. And I don’t want to know.” The manager feels offended and begins to head out.

“Don’t pay attention to him,” Sir Jacob turns to me and says in a clandestine whisper. “It’s his normal ramble. Old fool! The manager. Now he is the great manager, but in the old days— Anyway, there is no point to waste your nerves, too.”

“Dear Manager, is it true that instead of saying ‘good-evening,’ we should say, ‘salute’?”

The manager stopped halfway trough. All three of us turned our heads. Rose cheeks, brown hair wave. Ms. Mala. We have not noticed her before. She slipped in quietly, and without paying attention to us, she began to eat her supper.

“I don’t know,” he murmured.

“That’s what the youth says,” Sir Jacob instructed.

The manager merely grinded his teeth and walked out of the dinning room.

“What happened to him,” she asked.

“It’s always the same,” Sir Jacob waved his hand depreciatingly.

“Ah!” she seemed only slightly surprised. “And the boy, he came here with you?”

“Nope,” now Sir Jacob seemed surprised. “What are you saying? Why? That is, he was here before.”

“Before? What do you mean?” she couldn’t understand. “He just got here. We went for a walk with Tecia and here he appeared. Do you know each other?” she was not to give up.

“The world is small. And the Jewish world is even smaller. We all know each other.”

“Then I don’t know. The youth came here and what is he going to do here?”

“I don’t see what the problem is. Is this your problem, Miss? He came, so here he is.”

“This is great! You, Sir, are not in a talkative mood today,” she was upset.

“What to do?”

“You better show the youth your room, where they used to live. The cleaning woman has already changed the sheets.”

“Thank you. I will go by myself. I’m sure I won’t have problems finding the room.”



EUROPEAN UNION  
PRIZE FOR LITERATURE

2012

**Piotr Paziński** – Poland

*Pensjonat*

Boarding House

136 pp, 2009

**Rights sold to** (*Last Update – September 2012*):

**Czech Republic:** Nakladatelství HAVRAN

**France:** Gallimard

Publishing House **Wydawnictwo Nisza**

ul. Jana Styki 23 a – 03-928 Warszawa – Poland

Tel. +48 (0)22 61 789 61

[www.nisza-wydawnictwo.pl](http://www.nisza-wydawnictwo.pl)

**Contact:** [nisza@intertop.pl](mailto:nisza@intertop.pl)

ISBN: 978-839-262-761-6

---

EUPL / FEP-FEE – Rue Montoyer, 31 – B-1000 Brussels – T. +32 (0)2 770.11.10

[info@euprizeliterature.eu](mailto:info@euprizeliterature.eu) – [www.euprizeliterature.eu](http://www.euprizeliterature.eu)



Culture  
Programme



european  
booksellers  
federation

